

Krystyna Janda



Jak nie palić w Nowym Jorku

Pojechałam na trzy dni do Nowego Jorku. Jeżdżę do Ameryki dość często. W ubiegłym roku trzy razy. Podczas każdego z tych pobytów byłam otoczona znajomymi, kolegami, ludźmi przypadkowo spotkanymi, którzy zajmowanie się mną uważali za przyjemność, albo tymi, którzy mnie zapraszali i w związku z tym organizowali mój czas i rozwiązywali moje problemy. Nie mówię po angielsku. Tak się złożyło. Nigdy mi to dotąd nie przeszkadzało, ale tym razem byłam sama. I chciałam być sama. Tak się złożyło.

Mieszkam na Manhattanie. W hotelu. Nie palę od około 12. godzin, czyli od wyjazdu z Warszawy. W hotelu nie można palić. Po godzinie walki wypalam jednego papierosa w łazience. Nie smakuje mi. Zaczyna się straszna noc. Nie mogę zasnąć, cały czas oglądam telewizję, o 4. rano postanawiam się wykapać. Przez 2 godziny staram się jeszcze czytać jakąś książkę, o 6. decyduję się pójść gdzieś na śniadanie.

Sobota. Pusty, zimny Nowy Jork. Nie mam mapy, nie wiem, gdzie jestem. Trafiam do jakiegoś parku i zdumienie moje nie ma granic – wydzielone, ogrodzone miejsce dla psów, gdzie pełno zbitych na małej przestrzeni zwierząt i ich właścicieli. Ludzie ze sobą nie rozmawiają, psy się nie gryzą. Nadchodzą następne psy, a z każdym dwoje ludzi. Nic nie rozumiem. Przemyka mi przez głowę myśl, że w Polsce do każdego człowieka byłoby dwa psy, a tu odwrotnie. Nic nie rozumiem. Idę

dalej, nigdzie nie mogę znaleźć nic do zjedzenia. Wreszcie samotne śniadanie: zamrożone jajko sadzone kładą mi na jakiejś butce i podgrzewają w kuchni mikrofalowej. Ohyda, ale nic innego nie umiem zamówić. Błąkam się dalej. Nie palę 80. godzinę.

Po kilku godzinach rezygnuję z trafienia do muzeum, które chciałam zwiedzić. Chce mi się spać, ale właściwie jestem zadowolona. Pierwszy raz sama choǳę po sklepach i domach towarowych. Nie palę 90. godzinę. Ze zdumieniem zauważam, że prawie żadna kobieta nie farbuję włosów, toteż wszystkie są siwe albo siwawe już po trzydziestce. Wszyscy tu palą, spacerując i oglądając wystawy. Nie odważam się zapalić, bo całe życie mnie uczono, że kobieta nie pali na ulicy. Wieczorem cudem trafiłam do mojego hotelu, którego wizytówki zapomniałam zabrać (taksówkarz z trudem zrozumiał wymienioną przeze mnie jego nazwę). W hotelu orientuję się, że zgubiłam albo ukradziono mi zegarek. Nie palę 500. godzinę i chce mi się pla-

kać. Dalej jestem sama. Następną noc również koszmarna, jak poprzednia, do tego nie wiem, która godzina.

Rano (jak się okazuje w recepcji – o siódmej), biorę informator o repertuarze nowojorskich teatrów i korzystając z taksówki, staram się znaleźć teatr grający sztukę, której próby mają się zacząć na wiosnę w Warszawie. Tekst o Callas – „Master Class” – słynny już na całym świecie, w Nowym Jorku grany jest od dwóch lat z nie słabnącym powodzeniem. Mój teatr kupił do tej sztuki prawa. Od jakiegoś czasu kontaktuję się z tłumaczką, która tłumaczy tekst specjalnie dla mnie. Postanawiam obejrzeć TO na BROADWAYU. Jem gdzieś okropne śniadanie, do teatru taksówką, jest wciąż wcześniej rano. Pod teatrem stoi kolejka. Po otwarciu kasy widzę, że bilety są sprzedawane na spektakle, które odbędą się za trzy miesiące. Do kasy trzeba podchodzić pojedynczo. Porządku pilnuje groźny, ciemnoskóry portier teatralny w mundurze ze złotymi galonami. Postanawiam

czekać i dostać się za wszelką cenę. Nie palę 1598. godzinę.

Stoję w kolejce 4 godziny. Nigdy w swoim życiu nie stałam tak długo – nigdzie i po nic. Z minuty na minutę wzrasta mój szacunek i podziw dla tej inscenizacji i aktorki, która w niej gra. Po kilku podejściach do kasy, w chwilach nieuwagi „groźnego”, rozumiem że mam czekać, bo mogą się trafić zamówione i nie odebrane bilety. Czekam. Nogi mnie bolą, zaczynam być głodna, chce mi się palić. Mój szacunek i podziw rosną. Około

13. zaczynają przychodzić ludzie po zamówione pół roku temu bilety. Odbierają je i wchodzą na salę. Mając nadzieję, że może ktoś umarł i nie przyjdzie, co jakiś czas opuszczam na chwilę kolejkę, podchodzę do kasy i mówię „Jan ticket pliz”. Co chwilę przegania mnie, krzycząc na mnie, portier, i kolejka zresztą też. Około 2 p.m., widzę zdenerwowaną, że przede mną jest jeszcze kilka osób, a biletów już nie ma. Bolą mnie nogi, jestem głodna, wyznaję portierowi ze łzami w oczach „aj em aktris”. Nie robi to na nim najmniejszego wrażenia, coś mi odpowiada, z tonu sǳę, że pogardliwie.

O 2 p. m. spektakl się zaczyna. Jedni odchodzą od kasy, inni ustawiają się w kolejce w nadziei, że będą mieć szczęście wieczorem. Nagle kasjerka kiwa na mnie palcem i sprzedaje – zdumionej – bilet za 60 dolarów. Stoję oszupiała, nie mogę uwierzyć w to, co mnie spotkało. Rozumiem, że to dlatego, iż jestem sama, a wszyscy inni chcieli dwa (kto chodzi sam do teatru?). Wchodzę na salę. Spektakl już trwa. Rozumiem każde zdanie – ostatecznie znam już niezłe polskie tłumaczenie, nad każdym słowem zastanawiałam się już wiele razy. Obserwuję wszystko – każdy pomysł, szczegół, ruch, światło, scenografię – jak maszyna analizująca. Prostota,

oszczędność i trafność wszystkiego zdobywają mnie całą, bez reszty. Każda zmiana światła – przemyślana i efektowna. Aktorka grająca Callas – wspaniała; płacze cztery razy podczas tego wieczoru, płacze naprawdę. Myślę sobie: do cholery, ona to gra od roku dwa razy dziennie (przedtem grała inna aktorka). Jest wspaniała; nie nieobliczalna, nie zaskakująca, ale właśnie wspaniała! Publiczność śmieje się, kiedy trzeba, milknie kiedy trzeba, wzrusza się, kiedy trzeba i wiem, jak ta artystka to robi, jak nad nimi panuje. To jest obliczone, przewidziane, zrobione. W przerwie kupuję sobie tiszert, sliczert i płytę kompaktową z nagraniem całego spektaklu. Po przedstawieniu zbieram jeszcze porzucone między rzędami programy i wychodzę, zdając sobie sprawę, że połowy tych prostych efektów, choćby ze światłami, nie dałoby się w moim teatrze zrobić z powodu ograniczeń technicznych. Bo nawet użycie absolutnej ciemności jest w większości teatrów warszawskich nieosiągalne.

Biorę taksówkę. Milcząca, głodna i z poczuciem niższości przyjeżdżam punktualnie na próbę do wynajętego dla nas teatru. Wieczorem na naszym przedstawieniu jest 1000 osób. Jestem zdenerwowana i stremowana jak nigdy. Na sali śmietanka „polskiego”

Nowego Jorku. Staram się zagrać jak najlepiej w naszych – ze szmatek zrobionych, na wyjazd – dekoracjach, wśród pośpiesznie z konieczności ustawionych światła i pożyczonych z polskiego konsulatu mebli. Innych niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni w Warszawie. Zmuszają nas one do zmian sytuacji. Puszczają mi nerwy, zapominam tekstu w kluczowej scenie mojej roli.

Po spektaklu, na przyjęciu, obsypują mnie komplementami. Najbardziej podobał się wszystkim moment, w którym zapomniałam tekstu. Pytają, czy się cieszę z braw, które w tym momencie dostałam. Staram się tłumaczyć, że ostatni raz graliśmy tę sztukę cztery miesiące temu, że z różnych powodów nie mogliśmy zagrać w Warszawie przed wyjazdem. – Wybnięła pani z tego wspaniale, z takim wdziękiem, jest pani nadzwyczajna – słyszę w odpowiedzi. Myślę sobie: kolejny raz wybnięłam. A ja tego nie chcę. Chcę, żeby było profesjonalnie, nie cudem. Chcę, by było tak, jak na BROADWAYU. ✚

Krystyna Janda

